

Oszubski Tadeusz

Awatar

Z „Fahrenheit”

Grażynie Ostropolskiej

"...rumieniec na policzkach wskazywał, że życie zaczęło wstępować w tę glinę ludzką, która przez parę sekund pozbawiona była duszy i która stałaby się zdobyczą czarnego anioła, gdyby nie..."

Theophile Gautier, "Awatar".

Obserwował ulicę, kryjąc się w mroku. Czatował w otchłannej bramie kamienicy. Przed nim ludzie przechodzili, w świetle neonów i witryn sklepowych płascy, jak sylwetki cięte w tekturze. Jeźdźnią sunęły samochody osobowe i dostawcze. Kuba czekał tu już od godziny: na sprzyjającą sytuację, na właściwego człowieka.

Przechodnie mijali go. Tylko nieliczni dostrzegali niewiele jaśniejszą od tła sylwetkę chłopca. Ignorowano go, Kuba o tym wiedział. Świadomość stanu rzeczy – mimo że tego wieczoru stanowił on zaletę – zaprawiała myśli chłopca goryczą. Zawsze w tyle, zawsze najmniejszy, najstabszy w klasie. Zawsze w najgorszych, tanich ciuchach.

Mijający go ludzie szli przeważnie parami, czasem w większych grupach. Rzadko trafiał się samotny przechodzień, jak ta starsza kobieta, która właśnie zatrzymała się przed witryną sklepu z odzieżą, niedaleko miejsca, gdzie czatował Kuba. Kobieta poprawiała ułożenie sprawunków w torbie. Myślała chyba o dalszych zakupach, bo wyjęła z torebki portmonetkę i sprawdziła jej zawartość.

Kuba, zobaczywszy z daleka plik banknotów, napiął wątle mięśnie. Nasunął na oczy kaptur bawełnianej kurtki, zbyt cienkiej na chłód październikowego wieczoru. Chłopiec powtarzał w myślach: Nie rzucaj się w oczy, to nikt cię nie zapamięta. Nikt nie będzie wiedział, kto to zrobił. I gliny mogą się gonić. Z tego powodu tkwił w nieoświetlonej wjazdowej bramie kamienicy usytuowanej przy najruchliwszej ulicy miasta. Pozostawał w ukryciu, jak drapieżny owad w jamce pod kamieniem. Czyhał na ofiarę. Uważnie obserwował każdy ruch kobiety: schowała już portmonetkę do torebki i zastanawiała się, czy ruszyć w lewo, a więc wrócić, czy też iść w prawo, do sklepów, których jeszcze nie odwiedziła.

– No, rusz się, babo – mruknął Kuba. Niecierpliwił się.

– Chodź tu, chodź do mnie – szeptał, patrząc na kobietę.

Ta, po kilku sekundach, jakby ulegając jego woli, ruszyła w stronę bramy, w której się ukrywał.

Chłopiec zrobił krok w stronę kobiety. Mały, ale zdeterminowany drapieżnik wynurzył się z cienia kryjówki. Gotów był do gwałtownego skoku, a po nim, do pospiesznej ucieczki z łupem. W tym jednak momencie, do kobiety upatrzonej przez Kubę, podeszła para młodych ludzi z dwójką kilkuletnich dzieci. Dorośli głośno się witali, maluchy coś pokrzykiwały. Chłopiec, mrużąc przekleństwa, zawrócił w głąb bramy. Nie mógł już bezkarnie ukraść torebki – młody mężczyzna wyglądał na wysportowanego i pewnie by szybko Kubę dogonił. Do tego krzyki kobiet mogły zmobilizować przechodniów do pościgu za rabusiem.

Starsza kobieta odeszła w nieświadomej swej roli eskortie, Kuba zaś musiał dalej czatować w kryjówce. Było mu zimno, bolały go mięśnie. Czuł się źle. Dziesiątki, setki ludzi mijały go, ale wszyscy ci przechodnie byli dla chłopca bezużyteczni. Stanowili armię wrogów – niepokonaną, zwartą. Mieli dużo gotówki i wydawali ją na to, co nieistotne. Kuba zaś nie miał pieniędzy, lecz ważki cel: markowe buty sportowe.

Już drugi raz wyruszył w miasto na polowanie. Przed miesiącem ukraść jakiejś kobiecie torebkę. W portmonetce było mniej pieniędzy, niż przypuszczał, więc musiał zaatakować jeszcze jedną ofiarę. Nazbierał wtedy tyle złotych, że wystarczyło na kupno drogich, markowych spodni. Rodzicom powiedział wtedy, że od kolegi je pożyczył. Uwierzyli, a dlaczego by nie. Teraz chciał mieć buty takie, jak najznacniejsi chłopcy w szkole. Uważał więc na każdy szczegół, reagował na każdy ruch. Skupiony był, napięty, jak gitarowa struna, by celu dopiąć, i by policja go nie złapała.

Najnowszy model opla zatrzymał się w zatoczce, przy chodniku, zaledwie dziesięć metrów od Kuby. Z wozu wysiadło dwóch mężczyzn: drobny dwudziestolatek w okularach i otyły, siwowłosy człowiek w szarym płaszczu z wełny. Starszy niósł aktówkę z czarnej skóry.

Młodszy powiedział coś do starszego, wskazując ręką hotel o secesyjnej fasadzie, usytuowany trzy posesje dalej. Gruby mężczyzna skinął głową i ruszył w kierunku wskazanym przez młodego. Zaraz jednak zatrzymali się obaj na widok podjeżdżającego szarosrebrzystego koreańskiego samochodu o opływowych liniach, jednego z tych, co to jeżdżą bez napraw przez pięć lat, a potem same się rozpadają.

Błyszczący wóz zatrzymał się przy oplu grubego, a wtedy wysiadła zeń szczupła blondynka. Wiatr październikowy zaraz szarpnął ją za długie włosy, za poły jedwabnego płaszczyka, cienkiego, jak chusteczka higieniczna. Kobieta drżała z zimna, jednak wyglądała pięknie.

Kuba, też zziębnięty, obserwował tę scenę ze swojej bramy.

– Dobry wieczór, panie pośle – powiedziała blondynka do grubego.

– Dobry wieczór, pani redaktor. Jak zwykle, śliczna – odparł gruby z uśmiechem, pospołu przymilnym i obleśnym.

Ona ułożyła wargi – od szminki czerwone i błyszczące, jak nowiutki wóz strażacki – w uśmiech zdawkowy i wskazując spojrzeniem aktówkę grubego, spytała:

– To jest ta pańska słynna czarna teczka, panie pośle?

– Tak, pani redaktor. I cała jest do pani dyspozycji. Na własne oczy zobaczy pani, jaką gnidą jest senator Zawiślak.

Gruby zaśmiał się głośno, jazgotliwie. Nagle wypuścił z ręki aktówkę, jęknął i zatoczył się. Przycisnął pulchne dłonie do piersi. Towarzyszący mu młody sekretarz krzyknął:

– Co się stało, panie pośle?!

Otyły mężczyzna jęknął powtórnie, osunął się na kolana. Nie zwracał uwagi na to, że eleganckie spodnie uwalają sobie błotem. Przez chwilę kołysał się, klęcząc na chodniku, potem upadł na prawy bok.

Dziennikarka pochyliła się nad politykiem. Odruchowo chwyciła porzuconą na chodniku teczkę z aktami, przycisnęła ją do piersi.

– Niech pan coś zrobi! – wrzasnęła na młodego towarzysza pośła. Ten sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy. Wystukał numer pogotowia ratunkowego i zaczął nerwowo rozmawiać z dyspozytorką. Nie potrafił jednak podać nazwy ulicy, przy której doszło do wypadku. Po raz pierwszy był w tym mieście.

– Nie znam tego miasta. Nie znam – powtarzał w kółko, nie wiadomo czy bardziej zadziwiony tym faktem, czy wstrząśnięty wypadkiem zwierzchnika.

Kuba dotąd w skupieniu obserwował rozwój wypadków. Teraz nadszedł moment, na który od kilku już godzin czekał.

Sekretarz pośła ustalał szczegóły z dziennikarką i na dwa głosy krzyczeli do słuchawki.

Otyły mężczyzna leżał na chodniku zwrócony twarzą w stronę Kuby. Oddalony był o zaledwie pięć, sześć kroków. Dokoła zatrzymywali się przechodnie, jednak większość z nich nie z powodu zainteresowania chorym. Na ulicach bowiem ludzie zachowują się jak koty – ich uwagę przykuwa ruch, nie martwota. Przechodnie przyglądali się więc blondynie i młodziakowi pokrzykującym w telefon, nerwowo gestykulującym.

Wszystko to trwało dwadzieścia sekund, może pół minuty. Kuba nie wahał się dłużej. Wyszedł z bramy, wmieszał w grupkę gapiów. Potem szybko i zdecydowanie pochylił się nad leżącym.

– Sztuczne oddychanie trzeba mu zrobić! Umrze człowiek, jak mu się nie pomoże! – krzyknął, uprzedzając pytania, które paść mogły. Stanowili przecież z grubym wyjątkowo niedobraną parę. Tamten pod sześćdziesiątkę, a on miał lat czternaście, niski był i chudy. Tania kurtka z bawełny i polar z kapturem jaskrawo kontrastowały z kaszmirowym płaszczem grubego.

Kuba prawą dłonią poklepał nieprzytomnego po twarzy. Potem pochylił swoją twarz nad jego, blisko, jakby robił sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Udając, że cuci ofiarę, wsunął lewą rękę pod rozpięty płaszcz mężczyzny. Namacał drugą warstwę odzieży. Nie przerywając gry, mającej gapiów trzymać na dystans, odchylił połę marynarki leżącego. Dotarł do wewnętrznej kieszeni. Natrafił na portfel. W tej samej chwili gruby otworzył oczy.

– Serce... Boli... – jęknął. I nagle, nieoczekiwanie silnym chwytem, zacisnął palce na przegubie ręki gmerającej w jego kieszeni. Kuba szarpnął, ale nie mógł się uwolnić. Poczł lęk, że ludzie zgromadzeni dokoła odkrywają, co on właściwie z tym grubym robi. Poczł bezradność i wpadł w panikę. Jak mysz przyciśnięta do podłogi łapą kota, zastygł w bezruchu. Pamięć genetyczna zwierzęcych czasów podpowiadała, że musi wyglądać na bardziej martwego od człowieka, który pod nim umierał właśnie na zawał.

Mijały cenne sekundy, wreszcie Kuba otrząsnął się z przerażenia.

– Puszczaj, grubasie – warknął, ale mężczyzna tylko wzmocnił uścisk. Wpił oczy w twarz chłopca. Chociaż znalazł się na granicy życia, uśmiechnął się złośliwie.

Gruby nazywał się Józef Bilski i był posłem mało ważnej partii, ale człowiekiem ambitnym. I bardzo, ale to bardzo, chciał żyć. Przecież teraz mogły ziścić się jego marzenia. Zdobył dokumenty kompromitujące samego senatora Zawisłaka, szwagra premiera! Kiedy prasa puści te papiery w ruch, Zawisłak z premierem pójdą na dno. A on, poseł Bilski, pójdzie w górę, jak skwarek w tłustej politycznej zupie.

Tak chciało mu się teraz żyć. A tu zawał! Kardiolog groził mu tym od miesięcy, ale stara pompa musiała zawieść go akurat w takim momencie.

Nie dam się śmierci, myślał Bilski. I temu gnojowi też się nie dam, przysięgał sobie w duchu, zezując na Kubę.

Chciał potraktować chłopaka wulgarnym słowem, ale z ust wyrwał mu się tylko cichy świst. Ciało nie reagowało już na polecenia umysłu. Bilski nie przestraszył się jednak swej niemocy. Bezsilność wywołała w nim atak wściekłości. I choć nie mógł się poruszyć, jakaś siła wewnętrzna, energia dotąd mu nieznana, w nim, pośle Bilskim, z nanosekundy na nanosekundę rosła.

Kuba mocował się z wielkimi paluchami grubego, miażdżącymi mu przegub.

– Puszczaj, świnió, puszczaj – warczał chłopak przez zaciśnięte zęby. Nagle poczuł uderzenie, tak potężne, że stracił oddech. Cios zadano mu jednak nie w głowę, czy korpus, ale w serce, płuca, mózg – wszędzie na raz i do tego od wewnątrz. Jakby napastnik wdarł się w głąb ciała, jakby był niewidzialny, ba!, bezcielesny. Kuba znów poczuł ból, a wtedy zrozumiał, w jakie miejsce jestestwa go uderzono. Ktoś podkutym butem kopnął go w samą duszę!

– Wypieprzaj stąd, gówniarzu – usłyszał czyjś głos w swojej głowie. – Wypieprzaj, ale już!

Chłopak zrozumiał – choć nie rozumiał, jak to możliwe – że napadł go mężczyzna leżący pod nim na chodniku. Że jego duszę napadła dusza grubego.

– No, już cię tu nie ma, gnoju! – wrzasnęła dusza grubego i naparła całą mocą na Kubę. To była silna, bardzo silna dusza i chłopiec nie mógł zrobić nic innego, jak to, co gruby mu nakazał.

Kuba usłyszał przejmujący świst i zobaczył jasność tak oślepiającą, że niczego już nie widział. Odtąd dla chłopca istniała tylko bezdźwięczna ciemność, miejsce pozaprzestrzenne i beczasowe, gdzie jego dusza ugrzęzła, niczym owad na świeżo smołowanym dachu.

Dziennikarka i sekretarz posła skończyli ustalać szczegóły z operatorką pogotowia ratunkowego. Gapie zacieśnili krąg wokół nieprzytomnego mężczyzny, więc para ta musiała przepchnąć się pomiędzy ciekawskimi przechodniami. Młody sekretarz położył dłoń na ramieniu chłopca pochylonego nad nieprzytomnym mężczyzną. Popchnął nastolatka, by dojrzeć twarz zwierzchnika.

– Panie posle, jak pan się czuje? – spytał. Nie wiedział, co w tej sytuacji powiedzieć, co zrobić. Dziennikarka stała tuż obok. Tuliła do piersi czarną teczkę i rozglądała się nerwowo – wypatrywała karetki.

Nagle chłopiec pochylony dotąd na ciałem posła poderwał się. Był usztywniony i drżący, jak kawałek stalowego drutu. Twarz też miał metaliczną – siną i błyszczącą od jarzeniówek pobliskiej witryny sklepowej. W tej samej chwili mężczyzna na chodniku otworzył szeroko oczy, jęknął. Jego otyle ciało naprężyło się, po czym zwiotczało. Oczy, nadal otwarte, stały się matowe. Z rozchylonych ust spłynęło na kołnierz płaszcza pasemko śliny, srebrzyste w świetle ulicznych lamp.

– O Boże, on umarł – szepnął młody sekretarz. Dziennikarka spojrzała na ciało posła, potem na chłopca. Ten początkowo rozglądał się wokół z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Potem jednak drgnął i zdecydowanym szarpnięciem uwolnił dłoń z bezwładnych palców trupa. Uśmiechnął się złośliwie. Zrobił krok w stronę wianuszka gapiów, ale zatoczył się. Stał, usiłując utrzymać równowagę. Wtedy dziennikarka zobaczyła w dłoni nastolatka portfel z czarnej skóry.

– Złodziej! – krzyknęła. – Pana posła okradł!

Wciąż tuląc do siebie teczkę Bilskiego, wyjęła z kieszeni telefon komórkowy, by wezwać policję.

Przechodnie cofnęli się przed chłopcem, zaraz jednak kilku odważniejszych złapało go za ramiona.

– Puszczaj mnie! Precz, bo nogi z dupy powyrywam – pokrzykiwał usiłujący wyrwać się nastolatek. Nikt jego pogróżek nie traktował serio.

Józef Bilski szarpnął raz jeszcze wątlymi ramionami. Ale jak poradzić sobie z grupą dorosłych, gdy ma się wzrostu półtora metra, a wagi czterdzieści pięć kilogramów?

– Puszczaj! Kto ja jestem, nie wiecie! – spróbował raz jeszcze.

Oni tylko śmiali się. Dowcipkowali. Fakt, kim jest – nie mieli pojęcia. A gdyby wiedzieli, to czy by uwierzyli? Sam Bilski, choć dusza jego utknęła w ciele chłopca, dzięki czemu żył nadal, z trudem akceptował fakty.

Ciało mężczyzny było martwe, chłopca – w niewoli.

Nie minęła kolejna minuta, a podjechały karetka i radiowóz. Obsługa medyczna wahała się, co zrobić ze zwłokami, jednak gdy dziennikarka przedstawiła się lekarzowi i wyjaśniła, kim jest zmarły, natychmiast zabrano ciało Bilskiego z ulicy.

Policjanci nie mieli wątpliwości, jak postąpić.

– Dobry wieczór, pani redaktor. Przykry widok, ale zaraz tu posprzątamy – przywitał blondynkę starszy patrolu. Od lat pisywała o policji, raz traktując ją dobrym słowem, raz złym, wołał się więc nie narażać.

Mundurowi wyjęli nastolatka z rąk gapiów, samozwańczo przemienionych w patrol obywatelski.

Józef Bilski spojrzał w górę na zwalistych policjantów. Spróbował stawić opór.

– Panowie, nie wiecie, kim jestem – pisnął. Z zażenowaniem słuchał swojego nowego głosu, dyszkantu czternastoletniego Kuby, który jeszcze nie przeszedł mutacji.

– Jasne, gówniarzu, jesteś prezydent – zaśmiał się młodszy z policjantów i w tył wykręcił chłopcu ręce. Sięgnął po kajdanki, jednak gdy zatrzasnął je na przegubach aresztanta, zsunęły się z dłoni.

– Co za gźdyl! Za złodziejstwo się bierze, a nawet do obrączek nie dorósł – powiedział mundurowy do kolegi.

Policjanci zaśmiali się i pociągnęli chłopca w stronę radiowozu. Bilski szarpnął się, jednak gdy poczuł bolesny cios w lewą nerkę, a później wielka dłoń policjanta zakryła mu głowę i jednym ruchem wrzuciła do radiowozu, przestał się opierać.

W komisariacie spisano protokół zajścia, dołączono zeznania dziennikarki, która zgodziła się być świadkiem.

Józef Bilski gorączkowo myślał, jak wyjść z tej opresji. Jego zwłoki leżały w chłodni miejskiej kostnicy, a on tkwił w ciele czternastolatka. Do tego chłopak, czyli teraz on, Bilski, mógł trafić do poprawczaka i przez lat parę oglądać świat zza drucianej siatki.

Do kogo się zwrócić, myślał gorączkowo Bilski, komu wyjaśnić, co się stało. I kto mu uwierzy?! Była żona? Nie, przecież go nienawidzi. Żona obecna? Gdzieżby! Cały rozum jej w cyckach i nogach długich aż po szyję – denerwował się martwy poseł. Że też taką nielotną młódkę musiał sobie zafundować! Ale nie czas róż żałować, gdy las w ogniu, więc może do kolegów z partii by zadzwonić? Ale na cholerę im czternastolatek? Przedszkola politycznego przecież nie prowadzą. Kto jeszcze, kto? – denerwował się. Córka? Chodziła do jednej klasy z jego nową żoną i serdecznie go za to nienawidzi. Partnerzy od interesów też odpadają. Kto, kto jeszcze?! Bilski zrozumiał, że jest sam i samodzielnie tylko może wybrnąć z opresji.

Na noc ulokowano go w Izbie Dziecka, a rano oddano rodzicom: ojcu i matce Kuby. Od ojca dostał w twarz, od matki ciężkie spojrzenie i litanię wyrzutów, ciągnącą się przez całą drogę do domu. A że jechali autobusem, gderaniu przysłuchiwali się współpasażerowie. Wszyscy natarczywie chłopcu się przyglądali i Bilski czuł zażenowanie tego rodzaju popularnością.

Znaleźli się na jednym z blokowisk. Bilski nigdy tu nie był, czuł się zdezorientowany. Że są już w mieszkaniu, rozumiał, gdy ojciec Kuby dał mu ponownie w twarz, a matka powiedziała, że ma areszt domowy.

– Masz być grzeczny! – burknął ojciec Kuby. Popchnął Bilskiego do pokoju chłopca i zatrzasnął za nim drzwi. Martwy poseł znalazł się w paści, jak owad w słoiku.

Następnego dnia, w południe, przyjechała jasnowłosa dziennikarka. Rodzice Kuby, oboje bezrobotni, mieli wiele wolnego czasu. Nie byli jednak pewni, czy chcą o swoim nieszczęściu z prasą szczerze rozmawiać.

– Kiedyś bałam się o niego. A teraz jego się boję – matka Kuby wyznawała dziennikarce. – Jak mu przemówić do rozumu, żeby znowu był z niego grzeczny chłopiec?

Ojciec Kuby nie mieszał się do gadaniny kobiet. Wzruszył ramionami, myśląc: redaktorka, czy nie, to tylko baba. Potem wrócił do oglądania filmu dokumentalnego emitowanego przez telewizję publiczną. Na ekranie mały niedźwiadek panda jadł pędy bambusa podawane mu przez matkę. Mężczyzna wpatrywał się w tę scenę, jednak myślami był daleko od życia zwierząt chińskiej

dżungli. Myślał o synu grasującym w betonowej dżungli miasta: Od rzemyczka do koniczka, a ja za ojca kryminalisty będę teraz na osiedlu robił.

– Rozmawiałam z policją i prokuraturą, możliwe, że skończy się na nadzorze kuratora – powiedziała dziennikarka. – To jego pierwsze przestępstwo, więc może sprawa rozejdzie się po kościach. Czy mogę przez chwilę z państwa synem porozmawiać? Może wyjaśni mi, co się stało? Może będę mogła mu bardziej pomóc?

– Niech pani robi, co uważa – mruknął ojciec Kuby.

Kobieta weszła do pokoju chłopca, usiadła na krześle twarzą do leżącego na tapczanie nastolatka.

Bilski poczuł zapach perfum. Wsłuchał się w szelest lekkiego jedwabnego płaszcza. Wodził wzrokiem po miękkiej wełnie sukni koloru surowego lnu. To była przyjemność: kobieta przypominała mu jego własny świat, z którego tak nagle został wytrącony. Los kapryśny cisnął nim do tego mieszkania wielkości pudełka po butach, mieszkadła wypchanego meblami z oklejonych plastikiem płyt paździerzowych.

Czyżbym był niewdzięcznikiem? – pomyślał Józef Bilski. Wszak tenże los rachunek za życie mu prolongował, datę śmierci przesunął o lat dziesiątki.

– Dlaczego to zrobiłeś, Kubusiu? Mnie możesz wszystko powiedzieć – powiedziała blondynka, ciepło się uśmiechając. Zęby błysnęły jej pośród miękkich linii warg – też z połyskiem, lecz czerwonych, jak świeża krew z tętnicy.

– Pani redaktor, to trudno wytłumaczyć, ale ja nie jestem tym gówniarzem – zaczął Bilski. – To ja, poseł Józef Bilski. Wczoraj dałem pani teczkę z dokumentami, pamięta pani? Mogę zaraz powiedzieć, co było w środku...

Uśmiech na twarzy dziennikarki z ciepłego przemienił się w zdawkowy.

– No tak, oczywiście – powiedziała kobieta.

Wstała z krzesła. Wyszła. Ot, tak. Nawet drzwi za sobą nie zamknęła, więc Bilski wyraźnie słyszał, jej słowa kierowane do rodziców Kuby:

– Z państwa synem rozmawiał już psycholog, ale myślę, że chłopiec powinien też przejść badania psychiatryczne.

– A niech bada go, kto chce, byle gówniarz do kryminału nie trafił – odparł na to ojciec Kuby. – Nie zasłużyłim, żeby nas za rodziców bandyty ludzie mieli.

Dziennikarka zaraz wyszła. Już nie chciała rozmawiać z nastolatkiem. W tamtej chwili Józef Bilski pojął konsekwencje tego, co mu się przydarzyło. Odkrył cenę zasiedlenia młodego ciała i perspektywy życia dłuższego o lat kilkadziesiąt. Z goryczą pomyślał, że nikt, ale to nikt, w prawdę nie uwierzy. I że on, aby przetrwać, na wiele lat stać się musi grzecznym chłopcem.